

WIADOMOŚCI

Redakcja i administracja: 67 Great Russell St., London, W.C.1, tel. CHA 3644. — Prenumerata kwartalna 25s., w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$3.75, w Belgii 180 fr. belg., we Francji 1400 fr., w Niemczech 15 DM., w Szwajcarii 17 fr. szw., we Włoszech 2100 lirów, w innych krajach równowartość \$3.75. Zmiana adresu ls. Czeka należy wystawić na „Wiadomości”. Ogłoszenia: administracja „Wiadomości”. Cena za 1 cal x 1 szpalta fl.

Cena 2s. Rok XIV nr 2 (667)

LONDYN 11 stycznia 1959

TYGODNIK

STEFAN BENEDYKT

O PRZEŁOMIE MAJOWYM

Historia dni majowych r. 1926, od-
twarzana ze wspomnień i oparta na
świadczeniach ludzi, którzy stali wów-
czas po obu stronach barykady, po-
winna być spisana i utrwalona, jak
słusznie pragnie tego znakomity pi-
sarz i autor pięknie literacko, choć
bardzo jednostronnie ujętego szkicu
p.t. „Przewrót majowy” („Wiado-
mości”, nr 566) — p. Kajetan Mo-
rawski.

Żałować na pewno należy że gro-
madzone przez niego skrętnie ma-
teriały sponęły w powstaniu warszaw-
skim, a wcześniejsze jego zamiary,
o których wspominał „towarzyszom
swym z obozu rządowego jak i serdecz-
nemu przeciwnikowi, płk. Waleremu
Stawkowi”, napisania tego tak waż-
nego rozdziału historii naszego 20-
lecia nie zostały urzeczywistnione.

Wydaje mi się jednak że zarówno
w oparciu na wspomnieniach tych to-
warzyszy jak i przeciwników otrzy-
małyby raczej tytuł „przełomu ma-
jowego”, bo tym były w dalszym ży-
ciu państwa.

Przełom majowy związany jest
ściśle z dziejami odrodzonego pań-
stwa od pamiętnego listopada 1918.
„Psychologię Polski 20-lecia złożyły
— jak to ujął ambasador Morawski
— dwa mity”: „mit posługującego
się państwem jako koniecznym narzę-
dziem ale trwałego ości narodu”,
znalazł „rzecznika” w Dmowskim,
„mit państwa, które w przeszłości
jagiellońskiej było wspólnym domo-
stwem kilku narodów”, znalazł „cho-
rażego” w Piłsudskim. Jeżeli słuszną
jest teza autora że „tradycja polsko-
ści i tradycja Rzeczypospolitej szukały
dopiero nowej syntezy”, nie wolno
pominać faktów, zdarzeń i poczynań,
które świadczą również o dążnościach
przeciwnych. Zamordowanie
bowiem pierwszego Prezydenta, Gab-
riela Narutowicza, elekta zgromadze-
nia narodowego, sejmu i senatu, ty-
lko co wybranych w wolnych i najbar-
dziej demokratycznych wyborach, nie
leżące w tradycji ani polskości ani
Rzeczypospolitej — syntezy tej na
pewno nie ułatwiało.

Ten najbardziej tragiczny dzień
grudniowy 1922, zbrodnia, — już nie
błąd, — stoi u progu przełomu ma-
jowego.

Klub sprawozdawców parlamen-
tarnych w gmachu sejmu przy ul.
Wielkiej był nie tylko udziałem księ-
stwem niezależnym w suwerennym
przedstawicielstwie narodowym, lecz
równocześnie znakomitym punktem
obserwacyjnym całego życia politycz-

Ofiarowywał mandaty i jak stwier-
dza Piłsudski w wywiadzie skonfisko-
wanym przez rząd przedmajowy,
„szermował szeroko, wbrew memu
pozwoleniu, moim nazwiskiem, nie
przez kogo innego, jak przeze mnie,
szukając pomocy wpływów wojsko-
wych dla swojej partii”. M.in. ofiaro-
wać chciał koniecznie mandat z
„Piasta” adiutantowi generalnemu
Naczelnika, Bolesławowi Wieniawie-
Długoszowskiemu.

Wieniawa nie miał zamiaru opu-
ścić wojska i swoich szwoleżerów,
w końcu jednak zgodził się pod jed-
nym warunkiem:
— Będę kandydował, ale tylko z
mego okręgu, gdzie się urodziłem,
gdzie mnie wszyscy znają. Z okręgu,
do którego należy moja Bobowa.

— Okręg ten obiecałem już posło-
wi Cieluchowi, staremu działaczowi
partii — zauważył Witos.
— Ja mam byka w herbie, panie
prezese, a Cielucha w d.... — za-
replikował Wieniawa likwidując w
ten sposób swoją karierę posia.

Stanisław Wojciechowski, wybrany
na najwyższy urząd w państwie po
tragicznej śmierci prezydenta Naru-
towicza, był od samego początku
kandydatem Piłsudskiego. W okre-
sie od wyboru do popołudniowego
spotkania na moście Poniatowskiego
12 maja 1926 łączył ich stosunek za-
pewne więcej niż poprawny. Świad-
czą o tym pisma czy oświadczenia
Piłsudskiego oraz jego kilkakrotne
wizyty w Belwederze, gdzie przyjmo-
wany był z należnymi honorami.

W Warszawie, zawsze beztraskiej
i wesolej, łatwo było o kawał, dowcip,
kalambur. Piłsudski, mający praw-
dziwe poczucie humoru, zaśmiewają-
cy się z najbardziej swawolnych dow-
cipów Wieniawy czy piosenek „Szop-
ki Pikadora”, którą sam za swoich
rządów zaprosił do Belwederu, nie
był jednak autorem przypisywanych
mu anegdod o Wojciechowskim. Pow-
stały one raczej w tym obozie,
który głosował przeciw jego kandy-
daturze. Przed Prezydentem, repre-
zentującym majestat Rzeczypospoli-
tej, Piłsudski stawał na baczność i
tego żądał od żołnierzy i swych naj-
bliższych.

Wojciechowski doceniał wielką in-
dywidualność swego poprzednika i
zapewne pragnął — do ostatnich
chwil niemal — powrotu Piłsudskiego
na stanowisko generalnego inspek-
tora sił zbrojnych. Lecz przy rozwią-
zywaniu tych zagadnień działały
czynniki wrogie Piłsudskiemu, któ-
rym przeciwstawić się nie potrafił

na ambasador Morawski, nie była
wówczas znana dziennikarzom, ale
rozstrzygnęła o ostatecznym wyborze
premiera przez Prezydenta. A pow-
tórzenie gabinetu z r. 1923, t.zw.
„Chjeno-Piasta” z Witosem na czele,
było prowokacją pod adresem Sule-
jówka, rzucając rękawicę Piłsud-

chcą przedstawić osobiście swoją mi-
sję czy propozycję, po czym bąknę-
łem że późno już, że nie chcę przeszk-
kadzać, opowiedziałem jeszcze nie-
ważne wiadomości wieczorne z klubu
„Kriegschule”. Głową jej w maju —
z wieku i urzędu — był gen. Tadeusz
Rozwadowski, mający piękną kartę

się do dowództwa pułku. Mjr Ziemski
zaprowadził go do gabinetu dowódcy,
gdzie Marszałek osunął się na ka-
napkę. Wyglądał źle, był blady, zmę-
czony i przygnębiony. Byli chwilę ra-
zem w gabinecie, gdy zjawił się i
zameldował u Marszałka dowódca
pułku. Widząc zatroskaną i zmęczoną
twarz Marszałka zdał sobie sprawę
że przebieg wypadków na moście nie
poszedł po jego myśl.

Marszałek przez dłuższą chwilę
milczał i nie odpowiadał na słowa
meldunku. Potem zaczął mówić po-
woli z przerwami:
— Przyjechałem do was. Most Po-
niatowskiego stracony. Rozumiecie:
„stracony” — i kilkakrotnie jeszcze
powtarzał to słowo.

Wreszcie, dotykając guzika mundu-
ru i kładąc rękę na ramieniu Saw-
ickiego, zapytał:
— No i cóż u was?
Płk Sawicki zdał sprawę z sytuacji
w rejonie mostu, meldując że przy-
czółek warszawski jest obsadzony
przez batalion Korzkowicza.

Marszałek uważał że sytuacja i tu
zapewne się zmieniła.
— Mylicie się chłopcze, tak nie
jest, przejścia do Warszawy nie ma.

Na dalsze zapewnienie że można to
sprawdzić telefonicznie, Marszałek
poleciał mu pojechać tam osobiście i
zbadać sytuację na miejscu.
Na pytanie o dalsze rozkazy, Mar-
szałek nie odpowiadał, zatopiony w
myślach, był jakby nieobecny. Na
powtórne zapytanie, po chwili i jakby
od niechcenia rzekł:
— Chciałbym dzisiaj móc być w
Warszawie, jedźcie i przekonajcie się
co tam się dzieje, ja tutaj chwilę od-
pocznę i położę się.

Gdy mjr Ziemski chciał się rów-
nież odmeldować, Marszałek sam roz-
począł rozmowę. Ku zdziwieniu Ziem-
skiego nie mówił o sytuacji, lecz za-
czął wypytywać go o jego życie i
służbę. Gdy ten odpowiedział że z
armii rosyjskiej przeszedł do korpusu
Dowbora, Marszałek wdał się w
szczegółowe rozważania ówczesnego
położenia i możliwości korpusu —
możliwości stawienia oporu i walki
z Niemcami. Pragnął usłyszeć opinie
rozmówcy na ten temat. Ta rozmowa
i wymiana wrażeń — jakże da-
lekich i nie na czasie — jakby uspo-
koila Marszałka. Gdy wieczorem od-
jeżdżał już na komendę miasta na
pl. Saskim, wyglądał nieco lepiej przy-
pożegnaniu. Był spokojniejszy.

Wojciechowskiego o konieczności
przeciwstawienia się „Kriegschule”,
bo należeli do niej przeważnie niemal
byli wychowankowie najwyższej wie-
deńskiej uczelni wojennej, t.zw.
„Kriegschule”. Głową jej w maju —
z wieku i urzędu — był gen. Tadeusz
Rozwadowski, mający piękną kartę

się do dowództwa pułku. Mjr Ziemski
zaprowadził go do gabinetu dowódcy,
gdzie Marszałek osunął się na ka-
napkę. Wyglądał źle, był blady, zmę-
czony i przygnębiony. Byli chwilę ra-
zem w gabinecie, gdy zjawił się i
zameldował u Marszałka dowódca
pułku. Widząc zatroskaną i zmęczoną
twarz Marszałka zdał sobie sprawę
że przebieg wypadków na moście nie
poszedł po jego myśl.

Marszałek przez dłuższą chwilę
milczał i nie odpowiadał na słowa
meldunku. Potem zaczął mówić po-
woli z przerwami:
— Przyjechałem do was. Most Po-
niatowskiego stracony. Rozumiecie:
„stracony” — i kilkakrotnie jeszcze
powtarzał to słowo.

Wreszcie, dotykając guzika mundu-
ru i kładąc rękę na ramieniu Saw-
ickiego, zapytał:
— No i cóż u was?
Płk Sawicki zdał sprawę z sytuacji
w rejonie mostu, meldując że przy-
czółek warszawski jest obsadzony
przez batalion Korzkowicza.

Marszałek uważał że sytuacja i tu
zapewne się zmieniła.
— Mylicie się chłopcze, tak nie
jest, przejścia do Warszawy nie ma.

Na dalsze zapewnienie że można to
sprawdzić telefonicznie, Marszałek
poleciał mu pojechać tam osobiście i
zbadać sytuację na miejscu.
Na pytanie o dalsze rozkazy, Mar-
szałek nie odpowiadał, zatopiony w
myślach, był jakby nieobecny. Na
powtórne zapytanie, po chwili i jakby
od niechcenia rzekł:
— Chciałbym dzisiaj móc być w
Warszawie, jedźcie i przekonajcie się
co tam się dzieje, ja tutaj chwilę od-
pocznę i położę się.

Gdy mjr Ziemski chciał się rów-
nież odmeldować, Marszałek sam roz-
począł rozmowę. Ku zdziwieniu Ziem-
skiego nie mówił o sytuacji, lecz za-
czął wypytywać go o jego życie i
służbę. Gdy ten odpowiedział że z
armii rosyjskiej przeszedł do korpusu
Dowbora, Marszałek wdał się w
szczegółowe rozważania ówczesnego
położenia i możliwości korpusu —
możliwości stawienia oporu i walki
z Niemcami. Pragnął usłyszeć opinie
rozmówcy na ten temat. Ta rozmowa
i wymiana wrażeń — jakże da-
lekich i nie na czasie — jakby uspo-
koila Marszałka. Gdy wieczorem od-
jeżdżał już na komendę miasta na
pl. Saskim, wyglądał nieco lepiej przy-
pożegnaniu. Był spokojniejszy.

Dowództwo nad całością akcji w
Warszawie spoczywało w rękach gen.
Gustawa Dreszera dowódcy warszaw-
skiej armii. W najtrudniejszych okresach wal-

się do dowództwa pułku. Mjr Ziemski
zaprowadził go do gabinetu dowódcy,
gdzie Marszałek osunął się na ka-
napkę. Wyglądał źle, był blady, zmę-
czony i przygnębiony. Byli chwilę ra-
zem w gabinecie, gdy zjawił się i
zameldował u Marszałka dowódca
pułku. Widząc zatroskaną i zmęczoną
twarz Marszałka zdał sobie sprawę
że przebieg wypadków na moście nie
poszedł po jego myśl.

Marszałek przez dłuższą chwilę
milczał i nie odpowiadał na słowa
meldunku. Potem zaczął mówić po-
woli z przerwami:
— Przyjechałem do was. Most Po-
niatowskiego stracony. Rozumiecie:
„stracony” — i kilkakrotnie jeszcze
powtarzał to słowo.

Wreszcie, dotykając guzika mundu-
ru i kładąc rękę na ramieniu Saw-
ickiego, zapytał:
— No i cóż u was?
Płk Sawicki zdał sprawę z sytuacji
w rejonie mostu, meldując że przy-
czółek warszawski jest obsadzony
przez batalion Korzkowicza.

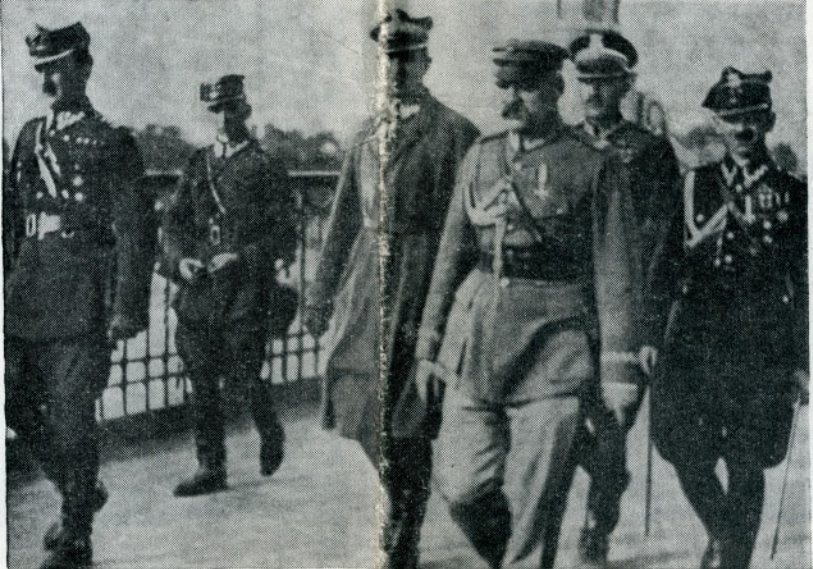
Marszałek uważał że sytuacja i tu
zapewne się zmieniła.
— Mylicie się chłopcze, tak nie
jest, przejścia do Warszawy nie ma.

Na dalsze zapewnienie że można to
sprawdzić telefonicznie, Marszałek
poleciał mu pojechać tam osobiście i
zbadać sytuację na miejscu.
Na pytanie o dalsze rozkazy, Mar-
szałek nie odpowiadał, zatopiony w
myślach, był jakby nieobecny. Na
powtórne zapytanie, po chwili i jakby
od niechcenia rzekł:
— Chciałbym dzisiaj móc być w
Warszawie, jedźcie i przekonajcie się
co tam się dzieje, ja tutaj chwilę od-
pocznę i położę się.

Gdy mjr Ziemski chciał się rów-
nież odmeldować, Marszałek sam roz-
począł rozmowę. Ku zdziwieniu Ziem-
skiego nie mówił o sytuacji, lecz za-
czął wypytywać go o jego życie i
służbę. Gdy ten odpowiedział że z
armii rosyjskiej przeszedł do korpusu
Dowbora, Marszałek wdał się w
szczegółowe rozważania ówczesnego
położenia i możliwości korpusu —
możliwości stawienia oporu i walki
z Niemcami. Pragnął usłyszeć opinie
rozmówcy na ten temat. Ta rozmowa
i wymiana wrażeń — jakże da-
lekich i nie na czasie — jakby uspo-
koila Marszałka. Gdy wieczorem od-
jeżdżał już na komendę miasta na
pl. Saskim, wyglądał nieco lepiej przy-
pożegnaniu. Był spokojniejszy.

Dowództwo nad całością akcji w
Warszawie spoczywało w rękach gen.
Gustawa Dreszera dowódcy warszaw-
skiej armii. W najtrudniejszych okresach wal-

się do dowództwa pułku. Mjr Ziemski
zaprowadził go do gabinetu dowódcy,
gdzie Marszałek osunął się na ka-
napkę. Wyglądał źle, był blady, zmę-
czony i przygnębiony. Byli chwilę ra-
zem w gabinecie, gdy zjawił się i
zameldował u Marszałka dowódca
pułku. Widząc zatroskaną i zmęczoną
twarz Marszałka zdał sobie sprawę
że przebieg wypadków na moście nie
poszedł po jego myśl.



Na trzecim moście: od lewej do prawej ppłk Kazimierz Stamirowski, por. Marian Zebrowski, gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, marszałek Piłsudski, mjr Tadeusz Jarszewicz, por. Michał Galiński

się do dowództwa pułku. Mjr Ziemski
zaprowadził go do gabinetu dowódcy,
gdzie Marszałek osunął się na ka-
napkę. Wyglądał źle, był blady, zmę-
czony i przygnębiony. Byli chwilę ra-
zem w gabinecie, gdy zjawił się i
zameldował u Marszałka dowódca
pułku. Widząc zatroskaną i zmęczoną
twarz Marszałka zdał sobie sprawę
że przebieg wypadków na moście nie
poszedł po jego myśl.

Marszałek przez dłuższą chwilę
milczał i nie odpowiadał na słowa
meldunku. Potem zaczął mówić po-
woli z przerwami:
— Przyjechałem do was. Most Po-
niatowskiego stracony. Rozumiecie:
„stracony” — i kilkakrotnie jeszcze
powtarzał to słowo.

Wreszcie, dotykając guzika mundu-
ru i kładąc rękę na ramieniu Saw-
ickiego, zapytał:
— No i cóż u was?
Płk Sawicki zdał sprawę z sytuacji
w rejonie mostu, meldując że przy-
czółek warszawski jest obsadzony
przez batalion Korzkowicza.

Marszałek uważał że sytuacja i tu
zapewne się zmieniła.
— Mylicie się chłopcze, tak nie
jest, przejścia do Warszawy nie ma.

Na dalsze zapewnienie że można to
sprawdzić telefonicznie, Marszałek
poleciał mu pojechać tam osobiście i
zbadać sytuację na miejscu.
Na pytanie o dalsze rozkazy, Mar-
szałek nie odpowiadał, zatopiony w
myślach, był jakby nieobecny. Na
powtórne zapytanie, po chwili i jakby
od niechcenia rzekł:
— Chciałbym dzisiaj móc być w
Warszawie, jedźcie i przekonajcie się
co tam się dzieje, ja tutaj chwilę od-
pocznę i położę się.

Gdy mjr Ziemski chciał się rów-
nież odmeldować, Marszałek sam roz-
począł rozmowę. Ku zdziwieniu Ziem-
skiego nie mówił o sytuacji, lecz za-
czął wypytywać go o jego życie i
służbę. Gdy ten odpowiedział że z
armii rosyjskiej przeszedł do korpusu
Dowbora, Marszałek wdał się w
szczegółowe rozważania ówczesnego
położenia i możliwości korpusu —
możliwości stawienia oporu i walki
z Niemcami. Pragnął usłyszeć opinie
rozmówcy na ten temat. Ta rozmowa
i wymiana wrażeń — jakże da-
lekich i nie na czasie — jakby uspo-
koila Marszałka. Gdy wieczorem od-
jeżdżał już na komendę miasta na
pl. Saskim, wyglądał nieco lepiej przy-
pożegnaniu. Był spokojniejszy.

Dowództwo nad całością akcji w
Warszawie spoczywało w rękach gen.
Gustawa Dreszera dowódcy warszaw-
skiej armii. W najtrudniejszych okresach wal-

się do dowództwa pułku. Mjr Ziemski
zaprowadził go do gabinetu dowódcy,
gdzie Marszałek osunął się na ka-
napkę. Wyglądał źle, był blady, zmę-
czony i przygnębiony. Byli chwilę ra-
zem w gabinecie, gdy zjawił się i
zameldował u Marszałka dowódca
pułku. Widząc zatroskaną i zmęczoną
twarz Marszałka zdał sobie sprawę
że przebieg wypadków na moście nie
poszedł po jego myśl.

Przyznając że nie rozumiałem wów-
czas oburzenia Marszałka.
„Cóż to znowu za bezprawie, sejm
leży przecież na linii frontu walki” —
rozumowałem jakże błędnie i nie zda-
jąc sobie sprawy że Marszałkowi cho-
dziło o najszybszy powrót do legalizmu.

Zameldował gen. Dreszerowi opi-
nię Marszałka i przedstawiłem do-
kładnie o co chodzi. Meldunek odbył
się w obecności wielu wyższych ofi-
cerów, w czasie odprawy dowódców.
Płk Beck, szef sztabu, opuścił odpra-
wę i telefonicznie szukał natychmiast
łączości z oddziałami, by wydać od-
powiednie rozporządzenia.
Nie wiem, kto wyjaśniał sprawę
i przeproszał marszałka sejmowi, nie
znam również dalszego przebiegu tej
sprawy na odcinku wojskowym, ale
gdy później wróciłem do klubu spr-
awozdawców, koledy opowiedzieli mi
co zaszło.

Było to zdaje się 14-go rano, gdy
jeden z batalionów wkroczył do ogro-
du sejmu i zajął nawet tam stano-
wisko obronne, okopując się. Podob-
nie jak wszędzie w mieście, akcji
wojskowej towarzyszyła moc dobro-
wolnych obserwatorów i gapiów. Byli
to przeważnie woźni sejmowi i być
może również członkowie straży mar-
szałkowskiej; fryzjer sejmowy, który
strzygąc i goląc udzielał zawsze po-
słom i senatorom ostatnich informacji
politycznych, przyjmowanych prze-
ważnie z humorem, zaprezentował
się jako kapral rezerwy w wojnie
polskiej i tym samym spec również
od zagadnień wojskowych. W tym
charakterze udzielał rad i napom-
nień starszemu strzelcowi z obsługi
ciężkich karabinów maszynowych,
który uwaga kaprala-cyrulika sejm-
owego przyjmował spokojnie i z mil-
czącą nonszalancją. W chwili jednak
gdy stary kapral zbyt intensywnie
wyhuczał zasoby wiedzy wojennej,
starszy strzelec, nie mówiąc dalej ani
słowa, wyrznął kaprala w zęby. Kap-
ral-cyrulik runął jak długi na ziemię
i wycofał się następnie na bardziej
ubezpieczoną pozycję; wśród woźnych
stracił od razu opinię fachowca od
spraw wojny i wojska.

Ale nie ten incydent wywołał in-
terwencję osobistą marszałka sejmowi.
Gdy wojsko weszło do ogrodu sej-
mowego, marszałek Rataj poleciał któ-
remuś z urzędników biura zwrócić
uwagę dowódcy i prosić go o wycofa-
nie się z suwerennego terenu. Ma-
jor, zaproszony na bezpośrednią roz-
mowę do gabinetu Rataja, idąc opu-
stoszałymi kuluarami, w sposób ra-
czej urągający zwyczajom parlamen-
tarnym bawił się rzecznym granatami

Dowództwo nad całością akcji w
Warszawie spoczywało w rękach gen.
Gustawa Dreszera dowódcy warszaw-
skiej armii. W najtrudniejszych okresach wal-

się do dowództwa pułku. Mjr Ziemski
zaprowadził go do gabinetu dowódcy,
gdzie Marszałek osunął się na ka-
napkę. Wyglądał źle, był blady, zmę-
czony i przygnębiony. Byli chwilę ra-
zem w gabinecie, gdy zjawił się i
zameldował u Marszałka dowódca
pułku. Widząc zatroskaną i zmęczoną
twarz Marszałka zdał sobie sprawę
że przebieg wypadków na moście nie
poszedł po jego myśl.

nego. Tu koncentrowały się wszystkie wiadomości, pogłoski i sensacje — prawda i plotka. Stąd wyruszał na podobny łowcy wywiadów i oświadczeń osobistych.

Młody, przystojny i bardzo obrotny Konrad Wrzos — prawa ręka Ignacego Rosnera z „Kurjera Polskiego” — łatwo wyrobił sobie dostęp do apartamentów osobistych Aleksandra Skrzyńskiego, jak inni do zamkniętych dla wielu gabinetów restauracyjnych „pod Bachusem”, gdzie dobiegano już targów o utworzenie nowego rządu w ponownym wydaniu z r. 1923 i ochrzczonego mianem „Chjeno-Piasta”.

Obserwacja i relacje z prowadzonych tam narad były tematem artykułów naczelnych Kazimierza Ehrenberga w „Kurjerze Porannym” pod wiele mówiącym tytułem „W traktierni pod Bachusem”.

W klubie prasowym wrzalo od rana do nocy. Woźny klubu Leon Przybysz, zarówno dowcipny i bystry jak wszystko wiedzający obserwator, donosił z uśmiechem i udanym przejęciem, którzy z posłów czy senatorów ukazali się w stroju protokółarnym — w czarnym surducie czy t.zw. „jaskółce”: był to nieodzowny znak posłuchania u Prezydenta czy też proponowanej teki.

Przynależność do klubu sprawodawców była notowana wysoko w świecie dziennikarskim. Tylko największe dzienniki miały po dwóch przedstawicieli, a założyciel i cerber klubu, wywodzący swój ród dziennikarski z parlamentu wiedeńskiego Władysław Bazylewski z „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” czuł nad właściwym doborom kandydatów.

Wspomniany przez ambasadora Morawskiego („Ja jestem prasa”) Mieczysław Wajnyb nie liczył się w myśl ad hoc ukutego powiedzonka: „Ryby i wajnyry głosu nie mają”.

Przedmające przesilenie rządowe, początkowo „zakłajstrowane” w formie t.zw. gabinetu kadłubowego bez udziału socjalistów, wywołało niezwykle napięcie. Reporterzy obiegali i obserwowali Belweder i Pałac Namiestnikowski, a wszyscy jednocześnie spoglądali w stronę Sulejówką. Dał temu wyraz i Wincenty Witos, gdy wychodząc w owych dniach po długich konferencjach i przetargach ze swego klubu w sejmie i śpiesząc na dalsze, zatrzymał się na kilka chwil przed dziennikarzami i z niezwykłym u niego podnieceniem odpowiadał na czysze zapytanie:

— Niech nareszcie wyjdzie z ukrycia, niech rąbnie pięścią w stół, a ja pierwszy stanę na baczność.

Towarzyszący mu Władysław Kiernik, najbliższy towarzysz narad, chcąc przerwać ten wylew szczerości, wtrącił:

— Panie premierze, musimy się śpieszyć.

— Jeszcze nie ma czwartej — ofuknął go gniewnie Witos.

— Ależ już po czwartej — wskazał na swój zegarek poseł Kiernik, aby usłyszeć mocną replikę Witos:

— Nie szkodzi, a zresztą pon będziesz chodził według mego zegarka.

Witos — premier w najtrudniejszym okresie 20-lecia (sierpień 1920) — miał dobre wycucie polityczne i przewyższał o głowę wszystkich swoich utytułowanych i udoktorowanych doradców bystrą orientacją i oceną ludzi. Nie zawsze jednak dopisywała mu intuicja polityczna.

W wyborach r. 1922 wyraźnie postawił na osobę zwycięskiego wodza naczelnego i Naczelnika Państwa.

Utkwili to i Władysław Sikorski i Władysław Grabski i Skrzyński; liczył się z tym mimo wszystko w przetargach partyjnych i gierkach sejmowych Witos. Dlatego też wyniki rozmowy na Bielanach w cytowanych przez ambasadora Morawskiego w jakże kokietyrno-naiwnych słowach o Witosie: „On nie szuka rozgrywki z Piłsudskim, on chce po prostu porządku”, brzmią jak zwrot z komedii czy nawet farsy.

Prezydent Wojciechowski rozumiał powagę sytuacji i początkowo szukał innego wyjścia z impasu przesileniowego, zanim znów skłeciła się w wzajemnych przetargach o teki i podteki i wielu siuchtach partyjno-kluczowych, obiecankach i koncesjach do rażna większość sejmowa. Oto np. mała partycja posła inż. prof. Maksymiliana Matakiewicza, licząca 9 posłów, zyskała 10-go posła — a był nim poseł chłopski z „Piasta” Józef Maślanka. „Nie utyje Matakiewicz na Maślance” zażartowano natychmiast w kuluarach, ale ambitny przywódca 10-osobowego klubu żądał podsekretariatu w ministerstwie robót publicznych. W czarnym „szlusrroku”, jako że pochodził z Galicji, czekał na zaproszenie na naradę do Belwederu i na mglisto obiecaną podtekę.

Gdy zespół „Centroprawu” jeszcze się nie uformował, prezydent Wojciechowski zwrócił się do prezesa klubu sejmowego P.P.S. Zygmunta Marka o próbę utworzenia rządu „Centrolewu” w oparciu na autorytecie osobistym Piłsudskiego. Tak się złożyło że doniosłem o tym osobiście Marszałkowi; w tym okresie przyjeżdżał często do Warszawy, mieszkając w pustym mieszkaniu posła naszego w Tokio Stanisława Patka, na Kanonii. Drzwi do mieszkania otworzył mi adiutant Marszałka por. Michał Galiński, którego dłuższym kołataniem obudziłem ze zdrowego snu. Urządził sobie w hallu — właściwie był to skład antycznych mebli — legawisko na starej rzeźbionej skrzyni. Sądziłem że narzucił piasecz wojskowy na pyjamę i że o tej nocej porze nie będzie przestrzegał przepisów regulaminu, ale ku memu zdziwieniu, ubrał się jakby szedł do raportu karnego, poprawił pas, spojrzął na glanc butów, zapukał i po chwili wróciłwszy oświadczył w tonie oficjalnym:

— Pan marszałek prosi.

Pokój graziarka nieco mniej przypominał graciarnię antyków, stał w nim zasłany tapczan. Marszałek siedział przy stoliku karciowym z rozłożonym pasjanssem. Było już mocno po 2-iej w nocy. Był w dobrym humorze i wcale nie dziwił się mej niespodziewanej nocej wizycie zapytał:

— Cóż powiecie dziecko? Zameldowałem wszystko dokładnie i ściśle, w formie wojskowej i polityczno-dziennikarskiej równocześnie.

Marszałek uśmieł się, jakby z dobrego kawalu Wieniawy czy Szcypary.

— I cóż powiecie dziecko, — ciągnął, nie przerywając ani na chwilę zainteresowania pasjanssem, — pan poseł Marek tworzy rząd i chce mnie na ministra. A jutro obu nas obala w sejmie i będziemy obaj w stanie dymisji. Ha, ha, ha! I cóż powiecie dziecku — poseł Marek tworzy rząd! A jaką on ma większość? Siadajcie dziecko, — dodał po chwili wskazując na fotel, — powiedzcie jeszcze co się dzieje.

Powiedziałem w myśl odebranego telefonu że Marek i poseł Mieczysław Niedziałkowski jutro o 10-jej

ni mieli to i Władysław Sikorski i Władysław Grabski i Skrzyński; liczył się z tym mimo wszystko w przetargach partyjnych i gierkach sejmowych Witos. Dlatego też wyniki rozmowy na Bielanach w cytowanych przez ambasadora Morawskiego w jakże kokietyrno-naiwnych słowach o Witosie: „On nie szuka rozgrywki z Piłsudskim, on chce po prostu porządku”, brzmią jak zwrot z komedii czy nawet farsy.

Prezydent Wojciechowski rozumiał powagę sytuacji i początkowo szukał innego wyjścia z impasu przesileniowego, zanim znów skłeciła się w wzajemnych przetargach o teki i podteki i wielu siuchtach partyjno-kluczowych, obiecankach i koncesjach do rażna większość sejmowa. Oto np. mała partycja posła inż. prof. Maksymiliana Matakiewicza, licząca 9 posłów, zyskała 10-go posła — a był nim poseł chłopski z „Piasta” Józef Maślanka. „Nie utyje Matakiewicz na Maślance” zażartowano natychmiast w kuluarach, ale ambitny przywódca 10-osobowego klubu żądał podsekretariatu w ministerstwie robót publicznych. W czarnym „szlusrroku”, jako że pochodził z Galicji, czekał na zaproszenie na naradę do Belwederu i na mglisto obiecaną podtekę.

Gdy zespół „Centroprawu” jeszcze się nie uformował, prezydent Wojciechowski zwrócił się do prezesa klubu sejmowego P.P.S. Zygmunta Marka o próbę utworzenia rządu „Centrolewu” w oparciu na autorytecie osobistym Piłsudskiego. Tak się złożyło że doniosłem o tym osobiście Marszałkowi; w tym okresie przyjeżdżał często do Warszawy, mieszkając w pustym mieszkaniu posła naszego w Tokio Stanisława Patka, na Kanonii. Drzwi do mieszkania otworzył mi adiutant Marszałka por. Michał Galiński, którego dłuższym kołataniem obudziłem ze zdrowego snu. Urządził sobie w hallu — właściwie był to skład antycznych mebli — legawisko na starej rzeźbionej skrzyni. Sądziłem że narzucił piasecz wojskowy na pyjamę i że o tej nocej porze nie będzie przestrzegał przepisów regulaminu, ale ku memu zdziwieniu, ubrał się jakby szedł do raportu karnego, poprawił pas, spojrzął na glanc butów, zapukał i po chwili wróciłwszy oświadczył w tonie oficjalnym:

— Pan marszałek prosi.

Pokój graziarka nieco mniej przypominał graciarnię antyków, stał w nim zasłany tapczan. Marszałek siedział przy stoliku karciowym z rozłożonym pasjanssem. Było już mocno po 2-iej w nocy. Był w dobrym humorze i wcale nie dziwił się mej niespodziewanej nocej wizycie zapytał:

— Cóż powiecie dziecko? Zameldowałem wszystko dokładnie i ściśle, w formie wojskowej i polityczno-dziennikarskiej równocześnie.

Marszałek uśmieł się, jakby z dobrego kawalu Wieniawy czy Szcypary.

— I cóż powiecie dziecko, — ciągnął, nie przerywając ani na chwilę zainteresowania pasjanssem, — pan poseł Marek tworzy rząd i chce mnie na ministra. A jutro obu nas obala w sejmie i będziemy obaj w stanie dymisji. Ha, ha, ha! I cóż powiecie dziecku — poseł Marek tworzy rząd! A jaką on ma większość? Siadajcie dziecko, — dodał po chwili wskazując na fotel, — powiedzcie jeszcze co się dzieje.

Powiedziałem w myśl odebranego telefonu że Marek i poseł Mieczysław Niedziałkowski jutro o 10-jej

ny, w chwili pobierania najśmielszych decyzji, w obliczu grożącej klęski czy w glorii wielkiego zwycięstwa, Piłsudski potrafił zawsze zachować — jak sam to trafnie ocenia — „une tête froide”, spokój i rozwagę, która cechowała musi każdego dowódcę. Gdyby rozmowa z Prezydentem odbyła się nie pod naciskiem i obserwacją otaczających go generałów, zmierzających do rozgrywki, lecz spokojnie w gabinecie Belwederu czy też w sali rady ministrów, wystarczałaby zbrojna demonstracja. Narzucono walka, która rozpoczęła się w chwili po odjeździe Prezydenta, kosztowała Polskę kilkuset zabitych i rannych, a jeśli chodzi o Piłsudskiego, zapewne skróciła mu życie o kilka lat.

Po raz pierwszy widziano Piłsudskiego niezdolnego do powzięcia dalszej decyzji i wydania rozkazu.

Z mostu Poniatowskiego, gdzie widząc że za chwilę zostanie otoczony przez żandarmerię gen. Rozwadowskiego i gen. Juliusza Malczewskiego, nowego ministra spraw wojskowych, Piłsudski odjechał samochodem na Pragę do koszar 36-go pułku Legii Akademickiej. Zostawiony przez niego jako łącznik z Prezydentem płk Wieniawa został natychmiast po odjeździe Marszałka aresztowany i osadzony w więzieniu wojskowym na ul. Dzikiej, skąd w kilka godzin później zwolniony go wojska wkraczające od Pragi przez pl. Zamkowy do centrum miasta.

36-ty Pułk Legii Akademickiej był już od rana zaalarmowany i stał w pogotowiu. Dowodzony przez płk. Kazimierza Sawickiego (obecnie generała) na rozkaz komendy miasta by wysłał batalion jako pogotowie, meldując że działa i jest w rozporządzeniu Marszałka; bez jego aprobaty rozkazu nie wykona. Wiedząc że Marszałek wyruszył z Sulejówką i z towarzyszącymi mu oddziałami znajduje się w drodze na most Poniatowski, Sawicki zajął na własną rękę przyczółek mostu Kierbedzia od strony Warszawy. Zadanie to wykonał półbatalionem piechoty z karabinami maszynowymi i oddziałami łączności pod dowództwem mjr. Jana Korkozowicza z tego pułku.

Charakterystyczna dla ówczesnej trudnej sytuacji żołnierskiej jest rozmowa dowódcy miasta gen. Stefana Suszyńskiego z mjr. Korkozowiczem, któremu osobiście wydał rozkaz wycofania się do koszar.

Mjr Korkozowicz zameldował że pułk 36-y jest pod rozkazami Marszałka. Gdy gen. Suszyński powtórzył kategorię wydany rozkaz, mjr Korkozowicz, wywodzący swój rodowód wojskowy z zawsze wiernych Piłsudskiemu czwartaków legionowych, zameldował generałowi że on swój obowiązek żołnierski wobec Marszałka musi wypełnić, gdyż tak nakazuje mu jego sumienie żołnierskie.

Jeśli sumienie i obowiązek żołnierski tak panu majorowi nakazuje, to rób pan według głosu sumienia. I ze słowami „Bóg z panem” gen. Suszyński odszedł.

Po przybyciu Marszałka do koszar 36-go pułku zameldował się u niego kwatermistrz mjr Karol Ziemiński. (W czasie ostatniej wojny Ziemiński w stopniu pułkownika dowodził pułkiem w kampanii wrześniowej, a następnie jako oficer Armii Krajowej w czasie powstania odznaczył się jako dowódca „Starówki”). Marszałek przyjął meldunek i kazał prowadzić

skiej dywizji kawalerii. Szefem sztabu został ppłk Józef Beck, który sformował doradnie mały zespół współpracowników.

Nie zamierzam nakreślać tu przebiegu walk, choć tego samego dnia z cywila i dziennikarza samowolnie przedzierzgnąłem się w oficera; zmobilizowałem się i włożyłem mundur. Mocno utkwili mi w pamięci chwile, gdy przez gęste tłumy na pl. Zamkowym i Krakowskim Przedmieściu, wznoszące okrzyki na cześć Piłsudskiego, śpiewające „I Brygadę”, przedostałem się cało do komendy miasta.

W jednym z pokoiów komendy urzędowała już kwatera prasowa ze swym szefem Wojciechem Stpiczyńskim.

Informowałem właśnie któregoś ze szczególnie nudnych dziennikarzy, gdy po jakiejś rozmowie czy naradzie wyszedł na chwilę ze swego gabinetu Marszałek. Na jego twarzy malowały się przeżycia tego dnia, nie tylko zmęczenie ale i głęboka troska. Szedł jakby z trudem, czerwony na twarzy, wyraźnie podniecony. Pamiętając go sprzed kilku dni uśmiechniętego i pogodnego, gdy w nocy przyjął mój meldunek na Kanonii, byłem podobnie jak i inni zebrani w hallu przed gabinetem zaniepokojony i przejęty tą widoczną zmianą.

14 maja walka trwała dalej, choć wiadomo było że akcja okrażająca z dwu stron powinna doprowadzić do rozstrzygnięcia. Siedziałem we wczesnych godzinach rannych chwilowo beczynnie w pokoju kwatery prasowej, gdy płk Sławek, trzymając dużą kopertę, zwrócił się do mnie z pytaniem-rozkazem, czy nie mógłbym bezzwłocznie pojechać na dworzec praski, gdzie znajduje się obecnie kwatera Marszałka, i doręczyć mu list marszałka sejmowi Macieja Rataja.

W kilka minut później dostałem się na dworzec praski, przy którym nie było nawet posterunku wojskowego. Adiutantowi Marszałkowi gen. Mieczysławowi Norwid-Neugebauer, który wprowadził mnie natychmiast do gabinetu Marszałka. Marszałek był bladej, ale wyglądał lepiej niż w dniu rozpoczęcia walki. Podeszedł do mnie, nałożył binokle, rozerwał zalakowaną kopertę i przeczytał szybko krótki list, jak zauważyłem, napisany ręką.

— Czytaliście? — rzucił mi niemal gniewne pytanie, a gdy zameldowałem że list był zapieczętowany i nikt nie zna jego treści — przerwał mi, dalej w tonie, świadczącym o wzburzeniu: — To jest bezprawie. Jak można było dopuścić aby wojsko weszło na teren sejmowy. Nie ponoszę za to żadnej odpowiedzialności, nie dowodzę wojskiem w mieście, na lewym brzegu Wisły. Dreszer tam dowodzi i on za to odpowiada. Powiedzcie Dreszerowi że uważam to za największe bezprawie, niech natychmiast wycofa oddziały z terenu sejmowy i niech da marszałkowi Ratajowi pełną satysfakcję. Rozumiecie mnie, — dorzucił już łagodniej, — ja to uważam za wielkie bezprawie. Listu wam nie daję, ale macie Dreszerowi wszystko dokładnie powtórzyć.

Marszałek wyszedł jeszcze za mną i w obecności gen. Norwida gniewnie ponawiał:

— Niech Dreszer natychmiast tę sprawę wyjaśni, to jest największe bezprawie, niesłychane, niepotrzebne. I pamiętajcie, macie dokładnie powtórzyć moje słowa Dreszerowi.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.

Stefan Benedykt.